

# Jak społeczeństwo równoległe rodzi dżihadystów

Piotr Ślusarczyk

**Izraelska prasa podaje, że stu trzydziestu walczących w szeregach Państwa Islamskiego trafi z Syrii do Francji. Informacja ta prowokuje do zadania sobie pytania, jak to możliwe, że w laickiej V Republice tak wielu młodych muzułmanów złowionych zostało w sieci dżihadystów?**

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy między innymi w publikacji Gillesa Kepela „Terror we Francji. Geneza francuskiego dżihadu” (pracę tę po polsku opublikowało wydawnictwo Dialog). Żeby zrozumieć, czym jest obecnie dżihad w jego francuskim wydaniu, należy cofnąć się do 2005 roku. To wtedy, między 27 października a 18 listopada przez kraj przelała się fala zamieszek, w których stroną aktywną byli muzułmanie. Zapłonęły przedmieścia Paryża i wiele innych miejsc zamieszkiwanych przez ludność imigrancką, głównie z państw afrykańskich. Władze wprowadziły stan wyjątkowy, by zminimalizować straty, choć te i tak były ogromne. Zniszczonych zostało blisko dziewięć tysięcy samochodów, ponad dwa tysiące osiemset osób trafiło do aresztu, więcej niż stu dwudziestu funkcjonariuszy zostało rannych. Wydarzenia te jak w soczewce skupiły w sobie główne problemy, ignorowane latami przez francuskie władze i zwolenników multikulturowej ideologii.



Gilles Kepel

Wypadki z 2005 roku ujawniły nowego i dotychczas w zasadzie nieobecnego aktora na francuskiej scenie publicznej. Przeciwno państwu francuskiemu wystąpiło drugie, a nawet trzecie pokolenie imigrantów, które urodziło się we Francji i było jej obywatelami. Niszczyli oni budynki użyteczności publicznej i miejską infrastrukturę. Wróg miał mundur policjanta czy żandarma Francuskiej Republiki. Zamieszki zaczęły się od śmierci dwóch nastolatków, którzy chcąc uniknąć przeszukania przez policjantów schronili się w stacji transformatorowej i tam porażeni prądem zmarli.

Wieść o śmierci Bouna Traoré i Zyeda Benna sprawiła, że fala niepokojów rozlała się na przedmieścia stolicy. Punktem zwrotnym było jednak odpalenie granatu z gazem łzawiącym parę centymetrów od starego magazynu, który został zaadaptowany na meczet. Sytuacja wyrwała się spod kontroli podczas strąc w paryskiej dzielnicy Anatole-France, 30 października 2005 roku, kiedy to grupa pięćdziesięciu młodych mieszkańców imigranckich przedmieść rzucała kamieniami w stronę samochodów policyjnych. Służby odpowiedziały na ataki używając gazów łzawiących. Jeden z gazowych ładunków upadł nieopodal budynku, który w niczym nie przypominał muzułmańskiego domu modlitwy.

Mimo tego, że intencją służb w żadnym razie nie był atak na meczet, ten incydent uruchomił lawinę. Muzułmanie przekazywali sobie plotki o „zagazowaniu meczetu”, a nawet o wrzuceniu kanistrów z gazem do środka. Przekaz był jasny: francuskie państwo atakuje meczet w świętym dla muzułmanów miesiącu (do starć doszło bowiem w czasie trwania Ramadanu). Oskarżenia o profanację miejsca świętego wystarczyły do tego, żeby przemoc rozlała się na [inne rejony Francji](#).

Liderzy społeczności muzułmańskiej świadomie podsycali antagonizmy, a w roli wroga obsadzali Francuzów oraz Żydów.

Co ważne, akcja była spontaniczna i zupełnie przez nikogo niekoordynowana. Pokazała jednak dobitnie przepaść, jaka dzieli postkolonialną społeczność muzułmańską od reszty społeczeństwa. Powody, które doprowadziły do zamieszek, nie dają się sprowadzić jedynie do problemów socjalnych, lecz należy ich szukać również w aktywności samych muzułmanów. Liderzy tej społeczności świadomie podsycali antagonizmy, a w roli wroga obsadzali Francuzów oraz Żydów. Promowana przez lata postawa „jestem ofiarą złego państwa” zbierała teraz swoje żniwo, a jednocześnie odsłoniła oblicze niezakorzenionych w wartościach Republiki przedstawicieli drugiego i trzeciego pokolenia imigrantów.

To właśnie dla nich tożsamość muzułmańska jest ważniejsza niż dla ich ojców czy dziadków. Paradoks tej sytuacji polega na tym, że nad Sekwaną zdążyło już dojrzeć całe pokolenie postkolonialne, które świadomie buduje równoległe społeczeństwo w kontrze do wartości V Republiki. W społeczeństwie tym zachodzą następujące procesy:

1. postrzeganie konfliktu izraelsko-palestyńskiego jako starcia dwóch cywilizacji i religii. Zachód, którego uosobieniem jest państwo żydowskie, prześladowuje niewinnych muzułmanów (Palestyńczyków). Przekłada się to wprost na wzrost nastrojów antysemitycznych we Francji.
2. niezgoda na laicki charakter państwa, stąd też zaangażowani liderzy muzułmańskiej społeczności postrzegają jako wroga nie tylko karykatury Mahometa, lecz także regulacje, zabraniające obnoszenia się z symbolami religijnymi.
3. racjonalizacja przemocy skierowanej przeciwko bluźniercom. Dla wielu francuskich muzułmanów zabicie karykaturzystów z „Charlie Hebdo” wydaje się w pełni zrozumiałe.
4. pojawienie się zaplecza ekonomicznego dla społeczności muzułmańskiej, czyli tzw. „przedsiębiorców *halal*”, którzy rozwijając własne firmy finansują rozmaite inicjatywy muzułmańskie. To właśnie oni czynią wyznawców Allaha odbiorcami (i beneficjentami) prowadzonych przez siebie interesów.
5. zwiększony wpływ fundamentalistycznych kaznodziejów na poglądy dzisiejszych dwudziesto-, trzydziestolatków. Kolejne pokolenie młodych muzułmanów pozostaje – za pośrednictwem mediów społecznościowych – pod wpływem duchownych z Bliskiego Wschodu, którzy prezentują islam i zbudowane na nim społeczeństwo jako alternatywę kulturową dla „zepsutego Zachodu”.
6. promowanie idei „islamskiej rewolucji”, która ma doprowadzić do zwycięstwa muzułmanów nad ich oprawcami. Część fundamentalistów namawia współwyznawców do „stawiania biernego oporu”, inni zaś otwarcie nawołują do zbrojnego dżihadu, licząc na wywołanie wojny

domowej.



Obecnie we Francji toczy się debata nad metodami skuteczniejszej walki z islamskimi radykałami. Szczególnie, że nad Sekwanę przyjeżdżają zaprawieni w boju dżihadyści, dla których naturalne zaplecze stanowią „muzułmańskie getta”. Jednak to wcale nie oni stanowią największe zagrożenie w dłuższej perspektywie, lecz ci, którzy budują równoległe społeczeństwo i do tego celu wykorzystują raczej słabości demokracji, niż przemoc.